

LISTY WSPARCIA PRZESYŁANE DO TEATRU



Dziękujemy za liczne listy, które otrzymujemy. Są to bardzo ważne **głosy**, **zarówno** dla nas, jak i dla osób które pragną poznać, inne spojrzenie niż to, które przedstawiają media.

Na tej podstronie publikować będziemy wybrane listy; te z propozycją lub zgodą na ich upublicznienie.

Zostawiamy też adres do tej korespondencji: listy@gardzienice.org

Spis treści:

1. [Iwona Skoczylas](#)
 2. [Romana Obracka](#)
 3. [Martyna Konewka](#)
 4. [Piotr Zwolski](#)
 5. [Ireneusz Guszpit](#)
 6. [Maria Ostrewa-Czekaj w liście do Miry Żelechower-Aleksiun](#)
 7. [Tadeusz Kornaś](#)
 8. [Stanisław Kral](#)
 9. [Iwona Woźniak](#)
 10. [Piotr Machul](#)
 11. [Mira Żelechower-Aleksiun](#)
-

Iwona Skoczylas

Rozumiem Wasze słowa i intencje. Też widzę ogrom zniszczenia, które nadciąga... i ogarnia mnie przerażenie. Pozwólcie, że przyłączę się do Waszych głosów. Wiemy i widzimy, że krzywda rodzi krzywdę, zło rodzi zło, przemoc – przemoc, szaleństwo – szaleństwo. Alegoria zawarta w filmowej przypowieści „Joker” (2019) nasuwa się sama. Okrutna baśń naszych czasów. I pytanie: jak powstrzymać to obłądne koło?

Rozumiem poczucie krzywdy. I wiem, że to silne emocje. Kto się z nimi nie upora, musi prędzej czy później eksplodować. Czytam uważnie i wydaje mi się, że w przypadku Mariany Sadovskiej taką iskrą zapalającą był – przerażający według mnie – sfilmowany eksperyment „Dau” J. Chrzanowskiego, filmowany przez kilka lat na Ukrainie, pod Charkowem. Premiera 2020. Dostrzegam radykalizację politycznej postawy utalentowanej ukraińskiej pieśniarki, którą poznałam dawno temu w Gardzienicach. Teraz na swojej stronie FB Mariana Sadovska reklamuje grupę, z którą się identyfikuje, i zaprasza na widowiska polityczno-społeczne, mobilizujące do aktywnego zaangażowania w walkę o powszechną i wszechstronną, międzynarodową sprawiedliwość. Cel szczytny, ale metoda przypomina mi rewolucyjne nawoływanie do wojny: https://youtu.be/5YmlN_PxJ1U

W Polsce do protestu Mariany Sadovskiej przyłączają się niezależne i utalentowane, dorosłe kobiety z gardzienickim rodowodem. Są wśród nich pokrzywdzone spod znaku #metoo, są walczące feministki i są ich żarliwi obrońcy. Większość osób z tej grupy zaangażowana jest w słuszny według mnie ruch rewolty kobiet w naszym Kraju. Ale w obliczu bezsilności wobec panującej polityki, ta grupa też się radykalizuje, wskazując na źródło zła, tj. na opresyjny „systemowy patriarchy”. Rodzi się plemię współczesnych, walecznych Amazonek. Mamy np. „Diabły” stworzone przez Agnieszkę Błońską i Joannę Wichowską w Teatrze Powszechnym w Warszawie (premiera 2020). Nie widziałam, ale mam wrażenie, że jest ostro w walce auterek z tym wszystkim, co odczytują jako patriarchalną opresją. Dumnie i otwarcie głoszą swój manifest polityczny. A więc wojna: <https://youtu.be/bQMkMTyZfNE>

Włączył się do akcji ich znajomy, młody i rzutki redaktor publikujący na łamach GW, Dwutygodnika, Oko.press, etc. Pan redaktor Witold Mrozek (jak rozumiem z jego wpisów publicznych, orędownik walki z tym, co nazywa klasową niesprawiedliwością społeczną) dolewa oliwy do ognia, publikując w mediach społecznościowych nachalną i na moje wyczucie obleśną reklamę całej sprawie. To reklama w stylu „skandal na sprzedaż”! Redaktor uprawia socjotechnikę sterowania emocjami i wyobraźnią. Chwył jest znany i prosty: rzucić tytuł, hasło czy hasztag, drażniący wyobraźnię i odruchowo wzbudzający emocje odbiorców. Hasła z góry przesądzają naszą ocenę, mają paraliżować dalszą analizę, namysł, zastanowienie. A gdyby komuś wyobraźni zabrakło, to redaktor podpowie, z czym jemu samemu kojarzy się np. „twardy fach”, o którym napisał Mariusz Gołaj. Wygląda na to, że w pojęciu redaktora taka interpretacja nie jest molestowaniem o podtekście seksualnym. Zawiesi równoważnik

zdania w niedomówieniu i insynuacją zaszantażuje nas emocjonalnie. Słowem – cyniczna manipulacja. Ze zdumieniem i zażenowaniem obejrzałam żart medialny, autoreklamę redaktora Mrozka: <https://youtu.be/5vPaeboV-Mw>

Przepraszam, jak mam to rozumieć?

Nie dajmy się na to nabierać.

Dostrzegam też, że akcja redaktora Mrozka zanurzona jest w kontekst postępowej walki współczesnego modelu młodego mężczyzny z opresyjną dominacją starszych wiekiem mężczyzn nie z tej epoki, zajmujących wysokie stołki. Niezasłużenie? Mimo ich doświadczenia, wiedzy, mądrości i kompetencji? Kolejna wojna, polityczna, kulturowa, klasowa?

Krzywda rodzi krzywdę, zło rodzi zło, przemoc rodzi przemoc, szaleństwo rodzi szaleństwo. Jak to zatrzymać? Odpowiedź wydaje się być prosta, ale jakże trudna w praktyce, gdy rozhuśtane emocje dominują nad namysłem, nad odpowiedzialnością. Nie brać w tym udziału? To chyba za mało, bo po drugiej stronie barykady też są ludzie. Wspaniali i jednocześnie ułomni, jak my wszyscy. Oni teraz, na naszych oczach, stają się ofiarami zbiorowego pogwałcenia praw człowieka, gromadnego mobbingu, werbalnej przemocy, publicznego samosądu – cały zespół Teatru Gardzienice, Absolwenci Akademii, nasi koledzy, nasi przyjaciele, nasi bliscy. Zostali napiętnowani, wszyscy. Czy podniosą się z tej traumy? Może z czasem nazwa Teatr Gardzienice będzie nam się kojarzyła z pojęciem gardy, z obroną przed pogardliwym osądem.

Wiemy, że nikt z nas nie jest do końca niewinny, ale czy zdajemy sobie sprawę, że jutro obiektem takiej nagonki możesz być Ty, mogę być ja? Czy rzeczywiście nie mamy już cywilizowanego sposobu na rozstrzygnięcie o winie zarzucanej jednemu z nas, jednemu człowiekowi? Nie mamy cywilizowanego sposobu na rozstrzygnięcie o osobistym ponoszeniu konsekwencji? Rozstrzygnięcie z zachowaniem szacunku dla praw przysługujących każdemu z nas, bez wyjątków?

Wydaje mi się – mówiąc obrazowo – że coraz szybciej galopujemy, coraz bardziej zaślepieni, w coraz gęstszy las... I tego już nie rozumiem.

Iwona Skoczylas

Romana Obracka

Szanowni Państwo, Kochani!

Nie wiem kto i z jakiego powodu wypowiedział Wam wojnę? Ale wiem na pewno, że z inspiracji Zła.

Życzę z całego serca, duszy i rozumu wygranie jej, bo inaczej być nie może!

Serdeczności, **Romana Obrocka**

Martyna Konewka

To ja wykorzystałam Włodzimierza Staniewskiego.

Nazywam się Martyna Konewka i byłam związana z Gardzienicami przez pięć lat- dwa lata jako studentka Akademii oraz trzy lata jako aktorka w zespole.

Staniewski potrafi zrugać, to prawda – i dobrze, bo dzięki temu jest dyscyplina na scenie, jest napięcie w nas aktorach, jest skupienie i uwaga, które pozwalają osiągnąć technikę, jakiej nie osiągnął do tej pory żaden teatr i robić na scenie rzeczy uważane za niewykonalne i niewytłumaczalne. Potrafi też przeprosić, gdy pójdzie o krok za daleko. Wspomniane przeze mnie ruganie to jednak żadne ze zjawisk opisywanych ostatnimi laty modnymi słowami, takimi jak „mobbing” czy „molestowanie”. Mogłabym wykorzystać każde jego słowo z prób, gdybym chciała je obrócić przeciw niemu. Mogłabym, gdybym chciała. Mogłabym, gdybym nie znała jego żartów, słabości lub po prostu zwykłego przemęczenia. Subiektywna interpretacja pozwala naszemu umysłowi naprawdę na wiele.

Nie jesteśmy w stanie ująć w jednolite ramy relacji aktor-reżyser, jak ma to miejsce w przypadku relacji pracownik-przełożony. Proces tworzenia jest ponad tym, co się w słowach mieści i poza tym, co się w nich w ogóle nie mieści. Sztuka powstaje w emocjach, tu nie ma miejsca na określone pedagogicznie, jedno właściwe podejście do człowieka lub na zasób słów, jakich należy używać. Gdyby tak miało być, w jaki sposób moglibyśmy przekraczać jakiegokolwiek granice na scenie, skoro tak kurczowo trzymalibyśmy się innych granic, jakie narzuca nam kultura i społeczeństwo? Czy do tej pory ktoś wznosił się ponad innych, gdy szedł z ich prądem i kierował się wyłącznie tym, co mu przykazano? Czy można być liderem takiego przedsięwzięcia jak „Gardzienice” przez przeszło 40! lat podporządkowując się lub słuchając tego, co według innych należy robić i co jest dobre?

Rzeczywiście, Staniewski przekracza mocno granice, ale są to granice Twoich umiejętności. Przekracza granice rozsądnego myślenia, bo nie ma według niego rzeczy niemożliwych. Jeśli wykonujesz daną czynność lub zadanie i nie masz do jego wykonania nawet odpowiednich środków – mówisz, że się nie da. Proste, prawda? Jak masz wyczarować coś z niczego? U Staniewskiego te słowa nie istnieją. Nie ma, że się

„nie da”. U niego wszystko się da i nie ma rzeczy niemożliwych. Pokrzyczy, pogada swoje, a Ty, dzięki temu, będziesz próbować aż do skutku. I w końcu uda Ci się. Staniewski ma niezaprzeczalnie dużo wad, które mogą powodować w starciu z Twoją psychiką smutek, oburzenie, ale to dzięki nim wiesz, jaką dalszą ścieżkę do własnego celu należy podjąć.

Sama mogłabym powiedzieć, ale nie mówię i nigdy nie powiem, że mnie również wykorzystywano wielokrotnie, gdy przygotowywałam mu raz na jakiś czas śniadanie lub gdy robiłam zakupy. Albo wtedy, gdy wiozłam go gdzieś samochodem lub parzyłam mu herbatę. Prawda jest taka, że w takich chwilach to ja go wykorzystywałam, czerpiąc ze spędzonego wspólnie czasu i rozmów. Wykorzystywałam go, aby posłuchać tych pięknych cytatów, jakich ja jeszcze nie zdążyłam w swoim krótkim życiu przeczytać. Wykorzystywałam go, aby posłuchać wspomnień i przygód z dalekich podróży, doświadczeń czy też spotkań z ludźmi, których dziś znamy już tylko z opowieści. Wykorzystywałam go, aby, gdy kiedyś będę tego potrzebowała, służył mi dobrą radą mędrca. Wykorzystywałam go, aby posłuchać więcej o sobie i dzięki temu rozwinąć skrzydła. Wykorzystywałam go, aby wreszcie dorosnąć artystycznie. Jak możesz to wyciągnąć od człowieka, który ma tyle zajęć, że nie wie za co się zabrać lub od którego cały czas ktoś czegoś oczekuje jako dyrektora i lidera absolutnie wszystkiego, co się tam dzieje?

Czy ktoś kazał mi robić te wszystkie rzeczy? Nie, robiłam to z woli serca. Nikt mnie do tego nie przymusił. Staniewski mnie o to poprosił, to nie był rozkaz. To w Gardzienicach normalne, że się sobie pomaga. Wszystkim, bez wyjątku. Wystarczy tylko zapytać o pomoc. Właśnie to miejsce nauczyło mnie czym jest wspólnota i bezinteresowna pomoc.

Czy można być uzależnionym finansowo od Gardzienic? Sama w portfelu nie widziałam wiele i nigdy nie słyszałam, aby zarabiał się tam wielkie pieniądze. Może tamtejsi aktorzy mają ukryte majątki, o których jeszcze nie wiem? A może kiedyś zarabiał się więcej niż teraz przy wsparciu Ministerstwa i innych ważnych władz? Czytając ten fragment artykułu, uznałam go za naprawdę niezły żart. Gdy jako dziecko pierwszy raz powiedziałam, że chcę zostać aktorką, usłyszałam od rodziny, że „to przecież nie praca, tam się nie zarabia wielkich pieniędzy”. Od samego początku pracy w Gardzienicach miałam jednak umowy i opłacane wszystkie składki, byłam bezpieczna.

Martyna Konewka

aktorka

(współpraca z „Gardzienicami”)

PIOTR ZWOLSKI

Dobrze, Pan Włodzimierz jest porywczy i despotyczny, ale to co wydarza się w mediach jest bardzo słabe... Gdyby nie Staniewski nie powstałyby Gardzienice i wielu ludzi nie doświadczyłoby pięknych momentów. Wiadomo jak tego typu miejsca funkcjonują i jeśli komuś się to nie podoba to po prostu niech się tam nie pcha. W Gardzienicach spędziłem sporo czasu i nikt mnie tam nie zamykał -gdy chciałem odejść -odszedłem. Gdy spotkałem Pana Włodzimierza po latach byłem przyjęty z szacunkiem. Miałem tu trudne chwile, jednak przeważają te piękne. Gardzienice były dla mnie jedną z najwspanialszych przygód, ukształtowały mnie... Każdy medal ma dwie strony, świat nie jest idealny i nigdy nie będzie.

Cała sprawa ma zapewne też charakter polityczny, czarne chmury od dawna snują się nad niebem EOPT.

Najbardziej irytują mnie bezmózgowi „aktywiści”, którzy nigdy nie byli w Gardzienicach, a tak płomiennie zabierają głos. Jeżeli chcemy robić porządek świata - proszę zacząć od patologii w szkołach teatralnych i teatrach instytucjonalnych, tam jest mnóstwo afer.

W sumie pomyślałem – koronawirus znowu zabierze mi część dochodów – poszukam w swojej biografii jakiegoś oprawcy -może dostanę odszkodowanie za krzywdy...

Piotr Zwolski, absolwent XII Akademii Praktyk Teatralnych „Gardzienice”

IRENEUSZ GUSZPIT

Tekst Witolda Mrozka wywołuje obrzydzenie: nieskrywanym zakorzenieniem w bolszewickiej praktyce destrukcji w imię tzw. równości i sprawiedliwości, arbitralnością i napastliwością sądów, manipulowaniem w doborze elementów składających się na opisywaną rzeczywistość. I można by na tym poprzestać, gdyby nie akapit, który stawia mnie w sytuacji współwinnego. Cytuję:

„Od lat tematem <Gardzienic> i nadużyć związanych z ich funkcjonowaniem zajmuje się Anna Kapusta, socjolożka i antropolożka społeczna. W swojej nieopublikowanej dotąd pracy naukowej Kapusta pisze o <efekcie ciszy> i <przemocy sieciowej>. **Wskazuje, że współodpowiedzialni za sytuację przemocy w <Gardzienicach> i milczenia wokół niej są zajmujący się tym tematem polscy badacze uniwersyteccy, budujący jego mit – i unikający kategorii etycznych w swoich ocenach”** /podkr. moje – IG/.

Porażony przenikliwością osądu powiem więcej: współodpowiadam także za wojnę trojańską, potop i plagi egipskie.

A na poważnie: nie znam pani Kapusty, nigdy o niej nie słyszałem, tym bardziej więc nie czytałem <nieopublikowanej dotąd pracy naukowej>. Jeżeli jednak Witold Mrozek pisze prawdę, to wypada mi odesłać <socjolożkę i antropolożkę społeczną> do lektury moich publikacji, którym nieobce są oceny, choć może nie takie, jakie ceni pani Kapusta. I przypomnieć – panu Mrozkowi także – , że dzieło i proces jego powstawania to wartości odrębne, metody pracy nad dziełem oraz struktury zespołów teatralnych – zasadniczo powiązane z duchem czasu twórczej aktywności – bywają rozmaite. Ale zawsze warunkiem pracy artystycznej jest dobrowolność. A jeżeli komuś nie wyszło to, o czym marzył, lub poniewczasie obudził się w nim Katon, to – dla zdrowia psychicznego – niechaj uprawia ogródek lub bieganie.

Ireneusz Guszpit

MARIA OSTERWA-CZEKAJ W LIŚCIE DO MIRY ŻELECHOWER-ALEKSIUN

Miro kochana, drogie Panie,

tekst rzeczywiście dyplomatyczny – ale zgadzam się z Mirą, że inaczej w tym przypadku nie można! Ważne jest bardzo, że rozdzielasz „pierwsze Gardzienice”, rówieśnicze, od następnych etapów (myślę tu głównie o sprawach obyczajów – nie sztuki); nasze pokolenie zupełnie inaczej prasowało koszule... ważne było poczucie wspólnoty – nie zaś li tylko przynależność do niezwykłego teatru; poczucie współtworzenia bytu (Jedni przez wysiadanie w gabinetach, inni prasując czy sprzątając). Nie wartościuję!

I właśnie Ty, Miro, możesz to wszystko właściwie opisać....

Pozwólcie, że posłużę się przykładem rodzinnym: tak jak Włodek jest piętnowany przez #metoo – tak Osterwie wytykano, że narzucił zespołowi Reduty „klasztor”... Twórca-inicjator zawsze będzie dla zespołu satrapą, inaczej się nie da! Kto tego nie znosi – musi odejść, znaleźć inny teatr, albo zgoła cos innego.

Ja zwykle stoję po stronie kobiet. W tym przypadku, uznając okaleczenie osobowości i prawo do skargi, tak jak Mira myślę: potrzebny jest sąd Salomonowy. Nie wolno zaorać Gardzienic – a nie ma Gardzienic bez Staniewskiego.

Mam nadzieję że ten, kto chce zniszczyć Gardzienice, nie osiągnie celu.

Życzę Wam wszystkim cierpliwości w nadchodzącym czasie i odporności na wszelkie zarazy!

Ściskam z serca,

Maria Osterwa-Czekaj

TADEUSZ KORNAŚ

[Wyjaśnienie Admina / Zespołu OPT: Poniższy tekst publikujemy za zgodą i dzięki uprzejmości: www.teatrologia.info / Link do artykułu: [tutaj](#)]

W 1997 roku pojechałem do Gardzienic na jubileusz dwudziestolecia zespołu. Zobaczyłem po raz pierwszy *Metamorfozy*, a w nich Marianę Sadowską. Była to rola absolutnie niezwykła. W jednej ze scen zaśpiewano: Dopóki żyjesz, lśnij! I tak właśnie postrzegałem tę rolę. Niewątpliwie, Sadowska była wybijającą się postacią tego przedstawienia.

Kilka dni temu przeczytałem tekst Mariany Sadowskiej o tym, że została w Gardzienicach skrzywdzona przez Włodzimierza Staniewskiego. Fizycznie i psychicznie. I jak z wielkim trudem się stamtąd wyzwoliła, uciekła. Ale dostało się też osobom śledzącym pracę Gardzienic. Napisała: „Co więcej, straszliwie oburza mnie odwracanie oczu i milczenie doświadczonych i uznanych teoretyków i krytyków teatru: wyraźnie widzieli wykorzystywanie bezbronnych młodych ludzi i wciąż oklaskiwali teatr i reżysera. W przeciwieństwie do niedoświadczonych 20-letnich aktorów/ek ci często dwa razy starsi panowie i panie mieli wszelkie zasoby i narzędzia, by wystawić należną etyczną ocenę podobnym «praktykom» i «metodom».” Najpierw więc pierwsze sprostowanie, w latach gdy Mariana Sadowska pracowała w Gardzienicach nigdy nie było tak, że był tylko Staniewski i grupa dwudziestolatków pod jego pieczęcią. Każdy może to sprawdzić (nawet w aneksie do mojej książki). W zespole było kilka osób starszych ode mnie (i na pewno ponad dwukrotnie starszych od autorki tekstu), kilka w podobnym do mnie wieku, kilka trochę młodszych. Mariana Sadowska była pewnie najmłodsza, lecz nie wiem. Jeśli Mariana zdecydowała się oskarżać, czemu pomija bliskie sobie osoby – dojrzałych aktorów i muzyków, z którymi pracowała na co dzień? Czemu taka narracja i taki wybór w rozdawaniu razów?

Cóż, dla Mariany Sadowskiej byłem zapewne jednym z tych „starszych panów”, których miała na myśli. Finalizowałem wtedy swoją pracę doktorską, która ukazała się w książce pod tytułem *Włodzimierz Staniewski i Ośrodek Praktyk Teatralnych Gardzienice*. Jednym słowem, wydałem ostatecznie książkę o Gardzienicach, nie pisząc w niej nic o cierpieniach aktorów i przemocy stosowanej przez reżysera. Napisałem natomiast o sukcesach, o niezwykłym zespole i jego wyjątkowej pracy. O wspaniałych spektaklach. Również o wspaniałej roli Sadowskiej.

Dzisiaj, nawet po tekście Mariany Sadowskiej i kolejnych tekstach potępiających Staniewskiego, nie zmieniałbym ani słowa w swojej książce. Jest ona konsekwencją mojego doznania i poznawania Gardzienic. Nie bezkrytycznego, ale, jak uważam, bardzo głębokiego. Nie kłamałem w żadnym miejscu. Nie wstydzę się żadnego z sądów, jakie wyraziłem.

Czy więc stawiam estetykę przed etyką? Zdecydowanie nie. Jest odwrotnie. Zawsze byłem i jestem orędownikiem etycznego teatru. Staram się uczyć studentów, że artysta jest odpowiedzialny za dzieło. Jeśli dokonuje jakichś przekroczeń, czy to w akcie tworzenia, czy w wymowie samego przedstawienia, powinien ponieść tego konsekwencje, jak każdy inny człowiek.

Nigdy nie uczestniczyłem w próbach spektaklu Gardzienic, nie brałem udziału w zajęciach Akademii Praktyk Teatralnych. Nie mogę więc mówić o pracy Gardzienic od środka. Ale też nigdy nie spotkałem się jako obserwator, nawet z daleka, z jakąkolwiek formą fizycznego czy psychicznego znęcania się Staniewskiego nad aktorami. Dlatego trudno mi uwierzyć w te zarzuty wobec Staniewskiego, które teraz powielane po wielokroć na mediach społecznościowych stały się ostatecznie publicznym linczem. Czy więc byłem wtedy ślepy? Naiwny? Czy powinienem bezwarunkowo uwierzyć w dzisiejsze oskarżenia Mariany Sadowskiej i kolejnych po niej osób? – to oczywiste pytania, które sobie dzisiaj poważnie zadaję.

W żaden jednak sposób nie mogę się już teraz odnieść do zarzutu pobicia czy uwięzienia Sadowskiej przez Staniewskiego, bo nic na ten temat nie wiem, poza jej słowami. Jeśli te czyny miały miejsce, nie znam zupełnie kontekstu zdarzeń – a to rzecz niebłaha w osądzaniu. Co się stało i dlaczego? Mogę tylko powiedzieć wierzę w pełni, lub nie wierzę w jej świadectwo, ale jakie ma to znaczenie? Skoro sprawa trafiła do prokuratury, to pewnie jakieś wyjaśnienia się w końcu pojawią. Jeśli wykazana zostanie wina, Staniewskiego nie zamierzam ani wybielać, ani usprawiedliwiać. Jeśli doszło do przekroczenia, kara będzie najstuszniejszym finałem tej sprawy. Nie mam tu żadnej wątpliwości.

Ale do kilku spraw wyłaniających się z tych oskarżających tekstów, pojawiających się teraz jak grzyby po deszczu chciałbym się jednak odnieść. Najpierw sprawy błahe. Zawsze byłem w Gardzienicach, jak już wspomniałem, widzem. Tym który patrzy, odczuwa i analizuje. Niezwykle dramatyczne przedstawienia Staniewskiego odnosiły się, gdzieś w głębi, do spraw dobra i zła, do ich splątania. Jak to niegdyś napisałem, odnosiły się do tego, że na tym świecie jesteśmy iskrą tylko, że mamy tylko chwilę na wypowiedzenie się jako byty śmiertelne. Były dla mnie głęboko etyczne przedstawienia. Nie tą sentymentalną etyką: bądźcie grzeczni, ale etyką patrzącą na wielkość możliwego wlotu i upodlenia człowieka. Bądź gorący lub zimny: letniego wypłyje Pan z ust – parafrazując Apokalipsę. I tak też zawsze przebiegała tam praca. Na ekstremalności życia, twórczości, doznań. O tym wiedziałem i pisałem. Wiedziały też osoby przychodzące do Gardzienic. Myślę, że nie było tu żadnego okłamywania,

Staniewski nie pracował z dziećmi. Od Gardzienic przychodzili i odchodzili (niekiedy skłócenii ze Staniewskim) wybitni aktorzy i aktorki, którzy z mocą zakładali później wiele ważnych i znanych do dzisiaj teatrów i instytucji społecznych. Raczej nie były to jednak zwichnięte pracą ze Staniewskim osobowości, życiorysy. Niewielu aktorów pozostawało w Gardzienicach na „całe życie”. Ta hardość gardzienickiego doświadczenia nie była tajemnicą, podkreślę raz jeszcze. Konflikty tam wybuchające, na tyle, na ile o nich wiem, miały podłoże artystyczne, niekiedy też osobiste. Lecz droga przychodzenia i odchodzenia była w Gardzienicach zawsze otwarta. W swojej książce bez ogródek pisałem o tych wszystkich odejściach, o kolejnych powstających w Gardzienicach zespołach, czy jak to nazywał Staniewski – konstelacjach. Lecz Mariana Sadowska rzutuje na naukowców swoje wyobrażenie, że „wyraźnie widzieli wykorzystywanie bezbronnych młodych ludzi” i klaskali. No, jednak tak nie było. To krzywdzące oskarżenie.

Skoro nie miałem bezpośredniego dostępu do procesu twórczego, w swojej książce o Gardzienicach opisywałem przede wszystkim to, jak wyglądały spektakle. To podstawowy element mojej publikacji, ale nie jedyny. Pisałem jednak też o pracy nad spektaklami, o procesie twórczym, bo to ważne. Wiedzę na ten temat czerpałem z rozmów z aktorami i z samym Włodzimierzem Staniewskim. Były takie osoby spośród aktorów, z którymi się zaprzyjaźniłem i przyjaźń trwała długo, nawet po tym, gdy odeszli z Gardzienic. Proces pracy aktorskiej – powtórzę – znam tylko z relacji. Również z krótkich rozmów z Marianą Sadowską. Ale też przegadanych maratonów z Tomaszem Rodowiczem, Mariuszem Gołajem, Janem Bernadem, Piotrem Borowskim, Wolfgangiem Niklausem i wielu innymi aktorami różnych pokoleń. Nigdy, absolutnie nigdy w tych rozmowach nie słyszałem o fizycznej przemocy, mobbingu, molestowaniu seksualnym, czy jakichś innych kryminalnych przekroczeniach dokonywanych przez Staniewskiego. Nigdy! Nie mówił o tym nikt i nawet do głowy mi to nie przyszło, że coś takiego w Gardzienicach się może dziać.

Po 2004 roku, po wydaniu książki, do Gardzienic przyjeżdżałem rzadko. Nie byłem wykładowcą Akademii Praktyk Teatralnych (poza jedną projekcją filmu o *Awwakumie*), nie mogę więc o późniejszych czasach wiele powiedzieć.

Po tekście Mariany Sadowskiej i artykule przygotowanym przez Witolda Mrozka, w którym wypowiada się kilka aktorek, musiałem skonfrontować się z inną prawdą o Gardzienicach. Również na koniec z atakiem skierowanym wprost wobec moich kompetencji etycznych.

Dziś trochę się gubię. Nie wiem więc już, kiedy słyszałem od aktorów i uczestników Akademii prawdę: czy dawniej, gdy pisałem książkę, czy teraz, gdy przeczytałem owe coming outy niektórych. Tak wielki jest rozdźwięk w świadectwach tych samych osób. Joanna Wichowska w 1998 roku pisała z aprobatą i podziwem: „Na przykład scena hysterii Psyche (Mariana Sadowska). Zbudowana jest jak wiele innych w spektaklu, według zasady momentalnych przeobrażeń – metamorfoz. Rządzi nią wahadłowy

ruch emocji; od rozpaczy do ekstazy, od przerażenia do autoagresji. Emocje jednak ujęte są w karby struktury, kontrolowane w sposób absolutny. Żaden mięsień twarzy nie powinien drgnąć bez przyzwolenia aktora. Gdzie szukać inspiracji dla takiego zadania aktorskiego? Ot, powiedzmy w naturze kobiecej. Każda kobieta nosi w sobie potencjalną erupcję hysterii. Można to sprawdzić; od razu, na gorąco – żeńska część Akademii wciągnięta jest w działanie. Kilka sekund na odegranie ataku hysterii; po kolei, bez wstępów. Staniewski: «to ma być teatr – nie dajcie się ponieść».

Więc to jednak teatr, jak mówił Staniewski, a relacjonowała to uczestniczka Akademii Praktyk Teatralnych i później aktorka Gardzienic. „Nie dajcie się ponieść” – wspomina słowa Staniewskiego Wichowska. Więc jednak teatr, a nie histeria? Joanna Wichowska opisała pięknie model pracy i jej zasady. I metody pracy Staniewskiego. Korzystałem z różnych jej wypowiedzi w swojej książce.

Agata Zygłewska, Joanna Wichowska i Dominika Rembelska przygotowały obszerną broszurę ze swoimi świadectwami na temat Akademii Praktyk Teatralnych. Później Zygłewska i Wichowska pisały teksty do monograficznego numeru „Kontekstów – Polskiej Sztuki Ludowej” o Gardzienicach. Wsłuchiwałem się w ich i różne inne spisywane i wygłaszane przez aktorów komentarze, gromadziłem je, analizowałem i wykorzystywałem. Na ich podstawie pisałem o teatrze Gardzienice, o jego metodach pracy z aktorem. Jedną z recenzentek mojej książki w „Teatrze” w 2005 roku była Agata Zygłewska. Czytałem wtedy z dumą jej recenzję o moich Gardzienicach: „Potyczki i bitwy reżysera z materiałem świata przybliżają liczne cytaty z jego oficjalnych i nieoficjalnych wypowiedzi. Z drugiej strony, udaje się Kornasiowi zachować własny, obiektywny, od-autorski język wypowiedzi, a nie jest to łatwe zadanie przy obcowaniu z silną osobowością twórczą. Cała bogata terminologia gardzienicka, która implikuje pewien subiektywny kształt rzeczywistości jest tu opatrzona koniecznymi wyjaśnieniami. Kornas dopuszcza także do głosu aktorów Ośrodka, studentów Akademii Praktyk Teatralnych i zewnętrznych komentatorów. Wydaje się, że taki właśnie opis, zachowujący równowagę między komentarzami z zewnątrz i z samego centrum wydarzeń pozwala najpełniej pojąć fenomen „Gardzienic” – pisała nie tylko o mnie, ale i o „fenomenie Gardzienic” Agata Zygłewska.

Co więc jest prawdą? Czy słowa dawne Zygłewskiej, sprzed piętnastu lat, dotyczące sytuacji w Gardzienicach wtedy, czy dzisiejsze? Czy to był więc fenomen „Gardzienic”, czy miejsce permanentnych przestępstw? Czy ona 15 lat temu nic nie widziała, o sprawach, o których teraz pisze Sadowska i ona sama? Samooszukiwała się? Ja w swojej książce nie wstydzę się do dzisiaj ani jednego sądu, ani jednego swojego zdania. Czy rzeczywiście oklaskiwałem Gardzienice, udając że nie widzę nadużyć? Nie. Tak nie było – pisałem prawdę. To jest ogromne oszczerstwo wobec mnie szermowane przez niektórych w mediach społecznościowych.

Zabrzmi to może patetycznie w kontekście obecnej nagonki, ale widziałem w Gardzienicach wiele rodzących się wzajemnych przyjaźni, wiele radości i spełnień. Sam

poznałem tam wielu niezwykłych ludzi (dodam, że kolegowałem się z Joanną Wichowską, którą znałem jeszcze z Węgajt). Mogę dziś o tym świadczyć, jak wiele było w Gardzienicach zapału, dumy i walki (w pozytywnym tego słowa znaczeniu). Nie było w tym przemocy, lecz zapał. I widziałem lidera – Włodzimierza Staniewskiego – pod którego pieczęcią rozkwitały talenty. Piszę te słowa bez wahania. Ale byłem jednak tylko wdzięcznym widzom, nie częścią zespołu.

Natomiast w tekstach, które teraz czytam, dostrzegam inne, nieustająco wrogie wobec swoich aktorów Gardzienice. Próbowałem zrozumieć, co się stało, że wiele osób tak radykalnie zmieniło swój stosunek do zespołu, którego były częścią, i poczuło się dzisiaj w obowiązku krańcowo odmiennie opisać swoje doświadczenie, niż gdy opowiadały o nim tam pracując.

Myślę tu nie o przemocy (bo, jeśli miała miejsce, to jest to karygodne – i powinna zostać ukarana), ale o sprawach codziennych, tych najbardziej prymarnych. Ja przyjechałem po raz pierwszy do Gardzienic jako bardzo młody człowiek, chyba w 1980 roku, a może rok wcześniej. To był czas, gdy nie było w Gardzienicach istotnej różnicy wiekowej między aktorami i reżyserem. To był czas Wypraw. Ja, widz, zostałem zaprzężony natychmiast do pracy. Było to dla mnie naturalne i... dobre. Podczas Zgromadzenia roznosiłem ludziom pierogi, w gardzienickich chałupie za łęgami nosiłem wodę, paliłem w piecu, sprzątałem. Drobne sprawy, ot takie harcerstwo. Robiłem te rzeczy, jak wszyscy aktorzy – choć nigdy aktorem nie chciałem być. I czułem się z tym dobrze. Gdy później, wiele lat później, gdy napisałem kilka tekstów o Gardzienicach, niekiedy i mnie przynoszono poczęstunek, nie czułem się w najmniejszym stopniu zawstydzony i zażenowany. Czy jestem winny z tego powodu, że ktoś przyniósł mi talerz z jedzeniem? Gdy się teraz zastanawiam, myślę, że może jestem. Ale wtedy winny nie byłem i się tak nie czułem.

Co się zmieniło w tych ludziach, którzy atakują teraz Gardzienice i Staniewskiego? (Przepraszam za długą, wymyśloną parabolę, która teraz nastąpi, być może w swej delikatności nie do końca adekwatną do tematu coming outów.) Wszystko w tej paraboli zaczyna się w kochającej się rodzinie. Rano ktoś wstaje, robi drugiemu kawę. Robi ją z miłością. I może taki drobny gest dawać potem szczęście obustronne. Trwają wtedy oboje leniwe, spędzając przy tej kawie szczęśliwe chwile. Ale wyobraźmy sobie, że coś się zepsuło. Miłość znikła, ludzie rozeszli się w dużej niezgodzie, ktoś kogoś skrzywdził, uraził. I on/ona mówi po dwudziestu latach, że był to nieszczęśliwy związek, bo on/ona był wykorzystywany i musiał wstawać wcześniej i robić kawę. Świadczenie wtedy jest zupełnie zgodne z faktami, ale czy prawdziwe, oddające rzeczywiste doświadczenie sprzed lat?

Jaki więc płynie z tego morał dla tej paraboli? Nie polega on bynajmniej na przekonywaniu, że trzeba milczeć i zakneblować usta swoim niewypowiedzianym pretensjom i nie mówić o własnej krzywdzie. Jestem przekonany, że zarzuty natury prawnej powinny być wyjaśnione do końca. I nie mam co do tego wątpliwości. Ale

ogólny obraz monstrualnych Gardzienic, jaki wyłania się po przeczytaniu kolejnych coming outów, jest wobec mojego doświadczenia i wobec wypowiedzi sprzed lat samych zainteresowanych, w gruncie rzeczy fałszywy. Pobyt w Gardzienicach w każdym z tych przypadków pokazywany jest jako czas wyjątkowo nieszczęsny. Nie tak było w Gardzienicach dwadzieścia lat temu. Nie tak.

Bardzo mi trudno odnaleźć się w sytuacji medialnej, jaką wytworzono: masz być za lub przeciw, nie ma miejsce na cieniowanie. Ale ja jestem za Marianną Sadowską i za Włodzimierzem Staniewskim. Mariana Sadowska napisała na wstępie swojego coming outu: „Zawsze sobie powtarzałam, że gdybym musiała przejść przez to wszystko jeszcze raz, bez wahania powtórzyłabym tę moją «szkołę».” Domyślam się, że czas przeszły oznacza, że ostatnie lata i ten tekst o Staniewskim to zmienił, że teraz jednak nie chciałaby powtarzać dawnej drogi (choć może nieprecyzyjnie to rozumiem). Kiedyś Ryszard Cieślak, aktor Grotowskiego powiedział; „gdyby ktoś zapytał mnie, czy chciałbym zmienić swoje życie, gdybym mógł cofnąć czas, odpowiedziałbym, że nie.” Jak podobnie brzmią te słowa Cieślaka do słów Sadowskiej... Marzenie aktorów o przekroczeniu własnych granic, o osiągnięciu kreacji wyjątkowych, wcale nie wydaje mi się utopią. Oboje – Sadowska i Cieślak – za tym poszli „bez wahania” – i wcale nie w imię reżyserów-demiurgów, ale zapewne też w poszukiwaniu siebie. Tak to rozumiem. Czarne legendy dotyczące aktorów Kantora, Swinarskiego, Grotowskiego, teraz Staniewskiego (a pewnie wkrótce pojawia się kolejne nazwiska) powodują konieczność postawienia raz za razem pytania o granice aktu twórczego. Takie pytanie zadała też wprost Mariana Sadowska. Dała też swoją odpowiedź, najpierw, że bez wahania poszłaby raz jeszcze. Ale w chwilę później, że nie warto pracować na granicy, że to niszczy. Paradoksalnie, nie widzę w tym sprzeczności. W tej chwili nie podejmę szerzej tego tematu, choć jest on ważny, być może kluczowy. (Wiem, że trzeba ważyć w tej dyskusji słowa, więc dodaję natychmiast, że gdy piszę o pracy na granicy, nie mam na myśli czynów kryminalnych czy przemyśle).

Z tekstem Sadowskiej – nie odnosząc się teraz do spraw, którymi zajmuje się prokuratura – chciałbym posprzeczać się, porozmawiać, bo jest w nim – oprócz zarzutów – wiele ważnych tematów. Jeśli wczytać się w niego, są w nim nie tylko oskarżenia, ale właśnie wiele pytań. Jednak po jej tekście odezwało się grono kolejnych osób. Kilka tekstów było ciekawych, bardzo szczerych. Inne mniej ciekawe – za to bardziej koniunkturalne. Niektóre wydały mi się nawet żenujące. Na przykład kuriozalne samokrytyki takie, jak składane przez Soszyńskiego, że wstydy się za swój wcześniejszy zachwyt nad *Metamorfozami*. Ja się nie wstydzę i nigdy wstydzę nie będę, bo to był świetny spektakl i świetną rolę stworzyła w nim właśnie Mariana Sadowska, naprawdę świetną. I myślę, że Sadowska by się ze mną zgodziła w takiej ocenie *Metamorfoz*, bo czemu miałyby się zaprzeczyć tego oczywistego faktu, że była to partia ze wszech miar udana (mówiąc skromnie). *Metamorfozy* zaś były wyjątkowym spektaklem. Zawsze jednak są nadgorliwcy poprawności politycznej... W latach pięćdziesiątych, nazywanych teraz okresem dominacji stalinizmu, w modzie były całkiem podobne samokrytyki, brzmiące słowo w słowo tak samo. A to Tadeusz

Borowski został zmuszony do powiedzenia, że wstydzi się, iż podobał mu się Hemingway, bo teraz przecież panuje jedynie słuszny socrealizm. Odcinano się więc na potęgę w imię jedynie słusznej drogi sztuki, którą projektowano. „My pracownicy pióra w trudnej walce o zlikwidowanie w nas samych wszelkich obciążeń przeszłości pójdziemy niewątpliwie naprzód” – pisał przymuszony Gałczyński. Ale niektórzy w czasach stalinizmu pisali pospiesznie samokrytyki z nadgorliwością. „Wstydzę się, że mi się podobało”, bo to niesłuszne w obecnej sytuacji.

Zaczeponiony przez Pawła Soszyńskiego w jego dwutygodnikowym coming outie, odpowiem mu tylko na koniec, że książkę o Gardzienicach uważam za bardzo ważną i udaną, lecz za swoje opus magnum uważam jednak późniejszą książkę o Scholi Teatru Węgajty i dramacie liturgicznym. Zapraszam do lektury. Na koniec dodam, że Soszyński, ogłaszając w swoim tekście, że „wszystko już wiemy” o Gardzienicach i Staniewskim, chyba bardzo się pospieszył. Proponuję, by z ostatecznym powszechnym linczem zaczekał. W demokracji samosąd jest bowiem wysoce nieetyczny – że użyję takiego określenia. Celowo go używam, gdyż Soszyński zaczął na przykładzie mojej książki mówić o etyce (czy jak się domyślam, jej braku) w opisywaniu teatru...

źródło: <https://teatrologia.pl/autorzy/tadeusz-kornas-lsnij>

STANISŁAW KRAL

[Wyjaśnienie Admina / Zespołu OPT: Na prośbę Pana Stanisława Krala publikujemy list, który przekazał nam go, po przesłaniu osobście 12.10.2020 do Redakcji Gazety Wyborczej. Z informacji, jakie mamy od Pana Stanisława, jednak do tej pory się ten tekst nie ukazał. Poprosił zatem by pojawił się na naszej stronie.]

Żyłem w Gardzienicach.

Pracowałem tam w latach 1986-93 jako szef administracji.

Znam dobrze ten Zespół, tworzyli go wspaniali ludzie. Trzon był stały, inni się przewijali.

Jeśli odchodzili, to przeważnie kontynuowali pracę artystyczną bazując na nauce i doświadczeniu jakie wynieśli z Gardzienic. Można by wymieniać liczne nazwiska ludzi, którzy po przejściu szkoły gardzienickiej, na trwałe zapisali się w kulturze polskiej.

Nie wszystkim się to udało, niektórzy się pogubili. Po ćwierćwieczu przypomnieli sobie jakich to krzywd doznali, będąc zmuszanym do prasowania koszul Szefa czy też wykonując mu masaż pleców.

Nadmienię, że w Gardzienicach żyliśmy jak w rodzinie i takie usługi świadczyli sobie wszyscy nawzajem.

Wtedy pani Wichowskiej to nie przeszkadzało. W perspektywie był wyjazd Zespołu do USA

a dzięki Staniewskiemu mogła w nim uczestniczyć – „Żaden człowiek nigdy nie wybaczy temu, komu coś zawdzięcza. Taka już jest natura ludzka ...najbardziej nienawidzimy swoich dobroczyńców” -Frederick Forsyth”.

Dopiero w Stanach, jak wynika z artykułu G.W., dowiedziała się jakie nieszczęścia ją w Gardzienicach spotkały. Po 25 latach poszła do redaktora Witolda Mrozka by mu o tym wszystkim opowiedzieć.

Panie Redaktorze,

zarzucam Panu nierzetelność przy pisaniu sławetnego tekstu.

Pomijam rozmowy z bohaterkami tego artykułu, odniosę się do innego fragmentu.

Pisze Pan o Annie Zubrzyckiej, która w grupie związała się z Grzegorzem Bralem i dorzuca Pan od siebie taką małą złośliwość, że Staniewski nie lubił gdy w zespole tworzyły się związki.

W tym miejscu to Pan się pogubił. Właśnie Szef Gardzienic w szczególny sposób dbał o związki w zespole, w tamtym czasie zawierane były liczne małżeństwa: Iga i Tomek, Anna i Mariusz, Henryk i Hania, Ilona i Michał, Wiola i Jarek, a także Mariana Sadowska z osobą poznaną w Gardzienicach. Wspomnę o swoim małżeństwie i rodzinie mieszkającej 500 km. od mojego miejsca pracy. Staniewski dbał by moi najbliżsi nie ucierpieli z powodu rozłąki. Stwarzał warunki do częstych, wzajemnych odwiedzin i wspomagał na różne inne sposoby.

” Znaczna część pracy dziennikarza polega na budzeniu i podtrzymywaniu różnych nienawiści. Objawy nienawiści działają sugestywnie i gromadzą sympatyków. Stawać na czele gromady, która atakuje to rzecz pojętna ” (nazwisko autora mi umknęło).

Kilka dni temu zadzwonił do mnie mój były pracownik z czasów gardzienickich – Jacek.

Był roztrzęsiony. Opowiedział o telefonie od człowieka z którym przez moment pracowaliśmy (Wojtek).

Trzydzieści lat się do mnie nie odzywał- mówi Jacek – a teraz proponuje mi udział w krucjacie przeciwko Staniewskiemu.

Stanowczo odmówiłem i spytałem czy ma listę osób do których jeszcze zadzwoni.

Rozmowa się urwała.

Krucjata trwa.

Stanisław Kral

IWONA WOŹNIAK

Z XI Akademią Praktyk Teatralnych związana byłam około 2,5 roku.

Wcześniej Teatr Gardzienice towarzyszył mi wiele lat. Oglądałam spektakle, spotykałam ludzi związanych z tym miejscem, czytałam i czerpałam!

Jako animatorce teatru, czasami reżyserce, a dziś dyrektorce teatru, teatr ten daje nadzieję! Tak, nadzieję właśnie, na pracę zespołową, na budowanie teatru jako wspólnoty, na prawdę, na emocje, na stworzenie niemożliwego!

Jestem i mam nadzieję zostanę idealistką!

Tego właśnie doświadczyłam w Gardzienicach. Pewnej przekraczalności niemożliwego. Grupa twórców, którzy poświęcili swój czas dla idei. Stworzyli prężnie działający ośrodek teatralny znany poza granicami Polski i Europy!

Z zażenowaniem czytam i śledzę udostępniane posty. Opinie, deklaracje i wylew zła, który płynie strumieniami. Jestem przerażona miątkością i opiniami osób, które nie pokwapiły się, aby to miejsce poznać, ale przecież te osoby „wiedzą”!

Nie taka „wiedza” jest teatralnym motorem działania, ale energia, prawda i chęć tworzenia! W tym trudnym dla teatru czasie, nie zabijajmy pięknego, twórczego miejsca i ludzi, którzy to miejsce przez lata tworzyli. Niech wygra sprawiedliwość, ale oddajmy ją w ręce sądów.

Kochani artyści Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice” – trzymajcie się, jesteśmy z Wami!

Iwona Woźniak

PIOTR MACHUL

Drodzy Przyjaciele po obu stronach niewidzialnej barykady! Fratelli tutti!

Ze zdziwieniem i smutkiem przyjąłem ostatnie doniesienia mediowe na temat twórcy OPT „Gardzienice”. Ze zdziwieniem i smutkiem przyjąłem też burzę, którą te doniesienia wywołały. Dyskusja, szczególnie w mediach społecznościowych, wymknęła się spod kontroli. Dotyka wielu wątków, które nie mają nic wspólnego z tematem głównym, a przez to wprowadza zamęt i zaciemnia sprawę najistotniejsze.

Moje związki z Teatrem „Gardzienice” – związki różnej intensywności i temperatury – sięgają roku 1989. Jako uczestnik wielu projektów artystycznych i badawczych tego teatru – jestem też absolwentem 1. edycji Akademii Praktyk Teatralnych – a także jako dziennikarz z blisko trzydziestoletnim stażem poczułem się w obowiązku zabrać głos, bo temat dotyczy osób bliskich memu sercu i wypłynął w mediach, czyli w mojej przestrzeni zawodowej.

Po obu stronach niewidzialnej barykady, która wyrosła w ostatnich dniach są ludzie, których od lat cenię, szczerze podziwiam, powiedziałbym nawet: których darzę braterską miłością, określaną przed wiekami przez Greków słowem *agape*.

Agape i nasza wspólna gardzienicka droga pozwalają i na szczególną bliskość, i szczerłość, i na braterskie upomnienie. Wiele osób wiele „Gardzienicom” zawdzięcza. Dla mnie to jedno z najważniejszych doświadczeń artystycznych i społecznych, wspólnotowych.

Bardzo bym chciał, by Teatr „Gardzienice” przetrwał. Rzecz jasna nie za cenę zamiatania trudnego tematu pod dywan i ukrywania prawdy, jakkolwiek i dla kogokolwiek jest ona bolesna. Z nadzieją przyjmuję gotowość zespołu teatru do wyjaśnienia sprawy. Wierzę, że przypadek „Gardzienic” może być zarzewiem ważnej, rzetelnej i ciągle potrzebnej dyskusji na temat etyki w teatrze. Szkoda, że nie pochylono się nad tym wcześniej – w epoce Kantora, Grotowskiego, Swinarskiego czy Dejmka. Dziś mielibyśmy już zapewne wypracowane standardy.

Trzeba zdecydowanie oddzielić 43-letnią aktywność artystyczną „Gardzienic” od tematu, którym ostatnio zajęły się media. Wątek obyczajowy stał się pretekstem do niszczenia dorobku „Gardzienic” i jego twórcy, nie tylko przez osoby wcześniej związane z tą grupą, ale i zupełnie obce, w myśl zasady „nie znam się, ale się wypowiem”. Tu trzeba powiedzieć „stop”.

Wciąganie w sprawę „Gardzienic” badaczy teatralnych (m.in. Leszka Kolankiewicza, Zbigniewa Taranienki, Tadeusza Kornasia) uważam za – użyję eufemizmu –

niestosowne. Komentarz krytyka teatralnego Pawła Soszyńskiego z Dwutygodnika jest według mnie kuriozalny i szkodliwy, nie tyle dla „Gardzienic”, ile w ogóle dla środowiska teatralnego. Nie życzę sobie też, by ktoś obcy 30 lat mojej wędrówki określał mianem „fałsz doświadczenia”.

Gdyby nie spotkanie z „Gardzienicami”, wiele osób nie byłoby tu, gdzie dziś są. Zaryzykuję twierdzenie, że ja nie byłbym dziennikarzem, Mariana Sadovska nie byłaby tak uznaną i rozpoznawalną artystką, Karolina Cicha i Ela Rojek nie dawałyby tak pięknych koncertów, Joanna Wichowska nie byłaby cenionym dramaturgiem, a Agata Diduszko-Zyglewska aktywistką i radną Warszawy. Lista osób i ich „postgardzienickich” aktywności jest długa. Nie piszę tego, by kogoś dotknąć. Wiem, że sukces wszystkich tych osób jest przede wszystkim efektem wytrwałości, pracowitości i talentu. Ale też i spotkania z „Gardzienicami”. Teatr Staniewskiego jest ważnym osobistym doświadczeniem, nawet jeśli po latach niektórzy ten etap swojego życia oceniają krytycznie lub starają się wypierać go z różnych powodów. Nie jest to moje przypuszczenie – o tym, ile zawdzięczają „Gardzienicom”, osoby dziś je krytykujące mówiły wielokrotnie w mediach.

Rzecz jasna wpływ „Gardzienic” na nasze życie w żaden sposób nie usprawiedliwia opisanych w mediach zachowań twórcy grupy. Świadectwa i artykuły to jednak za mało, by mieć pełny obraz zdarzeń. Nie powinny też być podstawą do wydawania osobistych, społecznych czy środowiskowych wyroków. To tylko materiały w sprawie. Od wyroków mamy przewidziane prawem instytucje, procedury i osoby. Powinniśmy pamiętać i o świadectwach kobiet związanych z OPT i APT, i o zasadzie domniemania niewinności. W tym trudnym dialogu z obu stron słyszymy głosy naszych przyjaciół.

Mariana Sadovska jest dziś wybitną artystką. Wybitną artystką była już w „Gardzienicach”. Kto widział ją w spektaklu „Metamorfozy”, kto latami brał udział w jej autorskich zajęciach muzycznych ten przyzna mi rację. Od zawsze traktowałem ją po bratersku – jako piękną i utalentowaną słowiańską siostrę. I nadal tak ją traktuję. Chwilę, w której recytowała wiersz Tarasa Szewczenki po ukraińsku, a ja równolegle mówiłem go po polsku („Kiedyśmy byli Kozakami i nic o unii nie słyszeli, na wolnych stepach, wolni sami brataliśmy się z Polakami”...) zachowuję w sercu do dziś.

Jak wspomniałem, braterstwo daje poczucie bliskości, gwarantuje szczerą w kontaktach i nie uchyla się od budujących upomnień. Gdybym znał problemy Mariany wcześniej, podpowiedziałbym jej, by w pierwszej kolejności nie szła z tematem do mediów, bo media nie rozwiążą problemu. Od tego są przewidziane prawem instytucje. Media nie są czwartą władzą. Nie są nawet trzecią władzą (sądowniczą) – nie są żadną władzą. Media mają rzetelnie informować. Tylko tyle. Media nikogo nie doprowadzą do *katharsis*. Zadałbym też Marianie pytanie, dlaczego dopiero teraz – po ponad dwóch dekadach – zdecydowała się upublicznić swoją opowieść. Sugerowane przez media i komentatorów z platform społecznościowych argumenty

oparte na mechanizmach opisanych w podręcznikach psychologii mnie nie przekonują.

W podobny sposób rozmawiałbym z Joanną Wichowską, którą znam, szanuję i cenię, a także innymi kobietami, których wypowiedzi pojawiły się ostatnio w mediach, a których osobiście nie znam. Zaczęłbym od rozmów, również konfrontacyjnych z twórcą i zespołem „Gardzienic”. W zależności od efektów tych dialogów rozważyłbym dalsze kroki. Powtórzę: odradzałbym – przynajmniej na tym etapie – kontakt z mediami. Do mediów można się zwrócić, gdy inne drogi wyjaśnienia sprawy okażą się ślepyimi uliczkami i gdy mamy pewność co do bezstronności, obiektywizmu albo przynajmniej subiektywnej bezinteresowności medium.

Dziś widzę, jak „gaz bojowy” dostarczony przez media niszczy moich przyjaciół po obu stronach niewidzialnej barykady. Dziś mam w głowie same znaki zapytania. Zadaję sobie przeróżne pytania – od „quid est veritas?”, przez „czy byłem ślepy?”, po „dlaczego temat wypływa teraz?”, „czyje intencje są szczerze?” i „czy szczerowość intencji wszystko usprawiedliwia?”. Media nie dają mi odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Jednym z najpiękniejszych elementów treningu gardzienickiego jest bieg wieczorny. Bieg w grupie, rytmiczne odgłosy kroków, bliskość oddechów, poczucie wspólnoty – kto biegał w przestrzeni Gardzienic, ten wie, o czym piszę. Jest taki element biegu, który początkowo mnie przerażał. Trzeba było stanąć tyłem do innych uczestników na skraju wąwozu, na skarpie, wyprostować kręgosłup i jak kłoda runąć w dół licząc, że ręce osób stojących w dole bezpiecznie nas złapią, „uratuja”. Nigdy się nie zawiodłem. Ręce przyjaciół zawsze były na miejscu, zawsze zdążyły mnie „ocalić”. Teraz na tej skarpie stoją Mariana Sadovska, Joanna Wichowska, Alicja Żmigrodzka, Agnieszka Błońska, Aleksandra Mikulska, Agata Diduszko-Zyglewska, ale też Joanna Holcgreber, Anna Dąbrowska, Tetiana Oreshko-Muca, Włodzimierz Staniewski, Mariusz Gołaj, Marcin Mrowca, pozostali obecni i byli członkowie zespołu OPT „Gardzienice” oraz wszyscy inni w różny sposób związani z tym teatrem. Wyciągnijmy nasze ręce i uratujmy te osoby. Wszystkie.

Piotr Machul

Warszawa, 13 października 2020 r.

MIRA ŻELECHOWER-ALEKSIUN

Po tekście w GW na temat Gardzienic, trwam w wątpliwości co do sensu występowania z jakimkolwiek słowem. Bo za słowo wyrośnie następne słowo i nic to nie da.

Jednak jako odwieczna przyjaciółka Gardzienic, a więc wszystkich osób które się przewijały przez te 43 lata od samego początku, a nawet pra- początku, czuję się zobowiązana do zabrania głosu .Już parę dni zastanawiam się **jak obronić wszystkich** -tak jak w tej opowieści o rabinie, który rozsądził spór dwóch sąsiadów ;

-Tak, ty masz rację.

– a ja , pyta drugi ?

– i ty masz rację . Jak to obaj mają rację ?

– Tak, i ty masz rację .

Podpisałbym się pod tym co napisał z klasą Instytut Kultury Polskiej , i to co napisał zespól i Joanna Holcgreber i częściowo pod tym co napisał Mariusz i Tomek Rodowicz i Wanda i Maria Osterwa i Hellen w rozmowie ze mną i Pola ale ponieważ należę do prapoczątku muszę sama coś dodać ,coś poza tym, że **współczuję wszystkim bo wszyscy mają zapewne swoją rację**

Bo jak napisał jeden student – o Staniewskim (,a ja to złagodzę) – **cokolwiek zrobił to nie zasługuje na takie zaoranie.**

Stanowski zrobił ten Ośrodek, choć od początku dziwiłam się po co traci na to energię – na ogród japoński, na ogród ziół , na remonty. Ma w sobie motor którym zarazał wszystkich .To on ściągał ten kosmos ludzi, który przy ciężkiej pracy wszystkich tworzył porywające spektakle . Młodzi przychodzili, żeby być tego częścią .

A w tamtych czasach, kiedy teatr powstawał nie było do czego się podłączyć .W tym tyglu ci twórczy ludzie błyszczeli, odkrywali siebie , odkrywali świat.

Anna,moja przyjaciółka ,w owym tekście mówi, że potrzebne są " klarowne ramy " . Nie zgadzam się . Nie ma klarownych ram w twórczości i ona też chyba to wie.

Pretensje o to żeby „moja twórczość” była oddzielona od reżysera i doceniona ...Po co ? Po latach nie wystarczy, że ich współpraca dawała rezultat – dzieło które porusza widzów, przemienia , wpływa na całe życie , na jego smak.I wszyscy dostają oklaski wdzięczności .To nie dość ?

Joanna W. skarży się na prasowanie koszul i masaże. Od początku byliśmy tak blisko, że wszyscy wszystkim wzajemnie masowali plecy , razem przygotowywali posiłki , robili zakupy. Kiedyś smażyłam tonę naleśników i byłam szczęśliwa ,że mogę to zrobić .Przywoziłam swoje obrazy żeby pokazać im w jakim miejscu ja jestem i wiele z nich anonimowo wisi w różnych miejscach . A prasowanie koszul kiedy Włodek jechał załatwiać sprawy zawsze ratujące to miejsce – kto mógł mu

pomóc się spakować to pomagał. **Wzajemność w tej grupie zawsze była podstawą i była widoczna , podkreślana i przenosiła się ze spektaklu na życie i odwrotnie** . Może jak mijały lata i zespół przestał być rówieśniczy ,to może te gesty były dla nowych czymś szokującym . Tego nie wiem bo moje wizyty z racji odległości i wieku były coraz rzadsze.

Na początku, kiedy zespół pracował nad Avakumem ,mieliśmy w budynku pałacu salę z piecem – kozą pośrodku i pryzkami pod ścianami wokół stołu. W toalecie zimna woda z długim korytem umywalki . Włodek organizował czasem kolacje wyrwywające z rutyny i nagle stół na wyjętych drzwiach z futryny ustawiany w jakimś zaskakującym miejscu np na środku łąki . I muzykowanie, śpiewanie .A próby na ogół zaczynały się późnym wieczorem wyrwywając nas z gnuśności. Wiem , że cokolwiek opowiem będzie skrótem i wyrwane z kontekstu tego innego życia nie unaoczní jego barwnej rzeczywistości .Dlatego zarzut o pomoc w pakowaniu i prasowaniu koszuli jest zaskakujący. Bo mieścił się w konwencji i nie miał w sobie niczego zdrożnego ani pogwałcającego czyjąś osobowość .

Teraz ten pałac odremontowany służy do spotkań ,konferencji ,spektakli , są tam pokoje gościnne. Myślę że to łąkowy kąsek, takie miejsce, że po zaoraniu teatru czy samego jego twórcy, okaże się komu to miejsce przypadnie i że tu jest pies pogrzebany ,a traumatyczne przeżycia dziewczyn posłużą nowemu gospodarzowi tego miejsca.

Jestem poruszona opowieścią Mariany, która przyszła kiedy już Ośrodek był jakos zagospodarowany , kiedy pracowali nad Metamorfozami .Wolno mi było być na próbach ale z Marianą nie weszłam w żadną rozmowę . Kiedy zespół się rozrósł , powiększył o Akademię już nie miałam bliskich relacji z nowymi osobami . Ona wydawała się nieśmiała Nie sądziłam, że jest w takiej sytuacji .Wobec faktu, że wszystko tam omawiało się w grupie budzi bolesne zdziwienie, dowiedzieć dziś się o takim fakcie o jakim opowiada.

Nie sądziłam, że ktokolwiek jest tutaj w takiej sytuacji .Mogłam się domyślać, że Włodek jest zarówno przyjazny ale potrafi pracując z aktorem być ostry. Że praca z nim jest walką ale, że każdy uczy się chronić swoje granice .Cała praca w Gardzienicach była szkołą osobowości .Dla mnie ważnym doświadczeniem i cieszę się że mogłam czuć się tego częścią .

Widziałam jak Mariana stawiała się wspaniałą aktorką, a też jak każdy , miała inne zadania w zespole. Jej przewodzenie w chórze np w Carminie, ukazywało ją jako osobę, która ma poczucie własnej wartości. Zresztą cały zespół zawsze oczarowywał mocą ,a każdy aktor miał tam szanse mieć swoją chwilę .Tam wszyscy są gwiazdami. Każdy wykonuje swoją niezwykłą pracę i każdy ma okazję błyszczeć. I to właśnie uwielbiałam przez wszystkie lata będąc związana przyjaznią z Gardzienicami. Zresztą oni traktowali gości z wielką atencją w czym przewodził szef ośrodka . I to wszyscy

odwiedzający to miejsce odczuwali mocno, tę dbałość i uważność wobec gości . I miało się poczucie, że taka sama atmosfera panuje między nimi .

W tych dniach po artykule o potwornie raniącym sensacyjnym tytule w GW ,rozmawiam z wieloma osobami, ktore były związane z pierwszymi Gardzienicami, kiedy wszyscy byli prawie rówiesnikami . Napięcia ,które występowały , roztopiały się kiedy pojawiał się spektakl. O tym też mówi moja przyjaciółka Maria Osterwa i prosi żeby przekazać jej wrażenia .Wiele osób z którymi rozmawiałam , ma podobne odczucia – z jednej strony zdumienie ,że taka rzecz mogła się tam wydarzyć, a jednocześnie podziw dla pracy zarówno Staniewskiego jak i całego zespołu . Wielka niepowetowana byłaby to strata gdyby te teksty stały się powodem zniszczenia tego tworca i tego Ośrodka. Komuna kilkakrotnie próbowała w różny sposób i na różnych etapach rozwoju tego miejsca je zniszczyć . Czyżby teraz te skargi kobiet, współtwórczyń jego blasku miały tego dokonać ?